

W czasie kiedy cały Rzym żyje myślą o przyszłości i nadchodzących derby, my chcielibyśmy was zabrać na wycieczkę w przeszłość. Nie bez powodu. Dokładnie pięćdziesiąt lat temu, 11 października 1961 roku, Giallorossi cieszyć się mogli największym tryumfem w rozgrywkach międzynarodowych. Po dwumeczu z Birmingham Roma zdobyła Puchar Miast Targowych.

Rok 1961, kiedy to Roma tryumfowała w Pucharze Miast Targowych, zaczął się od karnego meczu z Ostii. Spotkanie Roma-Stella Polare, rozegrane 5 stycznia, miało pomóc Giallorossim złapać zwycięski rytm po trzech remisach i porażce w ostatnich 4 meczach. W drugim oficjalnym pojedynku, z Sampdorią 8 stycznia, narodziła się legenda „Core de Roma”, Giacomo Losiego, a jednocześnie poważnej kontuzji doznał kapitan Egidio Guarnacci. Po starciu z Lojocide (byłym romanistą), Guarnacci – w owym czasie podstawowy gracz reprezentacji Włoch – padł na ziemię. Zgodnie ze zwyczajami tamtych czasów, obrońcę poproszono o zaciśnięcie zębów i przejście na lewe skrzydło. Dalsza gra w tym spotkaniu znacząco pogorszyła jego stan zdrowia i dlatego na jego powrót na boisko, po męczarniach poprzedzających postawienie poprawnej diagnozy, trzeba było czekać aż 13 miesięcy. Ale przynajmniej dopiero zakończony rok pozostawił drużynie kwalifikację do ćwierćfinałów Pucharu Miast Targowych.

Drużyna Foniego poradziła sobie po drodze z Union Saint Gilloise (mecz w Brukseli 4.10.1960 zremisowany 0-0, a rewanż 1.11.1960 wygrany 4-1), a 18 stycznia 1961 roku miała się zmierzyć w wyjazdowym spotkaniu z Kolonią pod wodzą Schnellingera w Niemczech. Wygrana 2-0 na wyjeździe wydawała się dawać bezpieczeństwo drużynie z Rzymu, ale Niemcy na Olimpico okazali się zdeterminowani i odpowiedzieli zdecydowanie na zadany cios. Właśnie w meczu 8 lutego zadebiutował młodziutki Giancarlo De Sisti. „Picchio” niestrudzenie biegał za piłką i przeciwnikami, aż w końcu Schiaffino powiedział mu: „Młody, zatrzymaj się, złap oddech i ustaw się tam, a zobaczysz, że piłki do Ciebie trafią”. Rada na pewno pomogła De Sistiemu, który popisał się dobrym występem, ale nie pozwoliła drużynie uniknąć porażki 0-2. Dlatego też kolejny był trzeci, rozstrzygający mecz, który odbył się na Stadio Olimpico. Tym razem wilki dominowały, co oddał końcowy wynik 4-1.

Kolejny rozdział to półfinał, którego pierwszy akt odbył się 19 kwietnia w Edynburgu. Przeciwnikiem był zespół Hibernian. W tym spotkaniu, zakończonym wynikiem 2-2, zdarzył się epizod, o którym tak mówi Lino Cascioli:

- Sędzia odgwizdał rzut wolny dla Romy w odległości około 30 metrów od bramki

Szkotów. Podczas gdy Francisco Ramon Lojacono przygotowywał się do jego wykonania, bramkarz dał znak kolegom z drużyny, że przy takiej odległości nie trzeba stawiać muru. Nie wiedzieli, że wolne Lojacono mogły zabić człowieka i lepiej było nie znaleźć się na drodze pocisku ze skóry uderzonego przez Lojacono po krótkim rozbiegu. Nikt nie widział startu piłki. Nikt nie widział jej lotu. Ale w końcu była właśnie tam, w głębi bramki, a siatka cała drżała od siły uderzenia.

Ale żeby pokonać Hibernian potrzebne były kolejne dwa mecze. Rewanż odbył się 26 kwietnia (wynik 3-3), a rozstrzygający baraż 26 maja. Ten drugi mecz zakończył się wynikiem 6-0. W tym momencie dziwne reguły rozgrywania pucharu zawiesiły zmagania na prawie 4 miesiące. Na ławce Romy w miejsce Foniego zasiadł Carniglia, już wtedy zdobywca dwóch Pucharów Mistrzów z Realem Madryt. Dla drużyny, prawdę mówiąc, nie było to korzystne. Lojacono, złapany na uciekaniu po linie z okna pokoju hotelowego, żeby udać się na mecz bokserski, wszedł w konflikt ze szkoleniowcem. Także relacje snajpera Manfrediniego z trenerem nie były lepsze. Sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że kiedy w roku 1962 „Pedro” oddał do druku swoją autobiografię „Io Piedone”, zadedykował pierwszy rozdział („Co myślę o Carnigli”) właśnie argentyńskiemu trenerowi. Pisał w nim: Carniglia zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, że nie mogę być użyteczny w grze drużynowej. Lojalnie odpowiedziałem mu, że tak i pogodziłem się z myślą, że mogę zacząć pakować walizki i wyjechać z Rzymu.

Do tego straszego obrazu dorzucić należy polemiki w prasie, która starała się skonfliktować Lojacono i Angelillo. Pierwszego października na przykład „Il Calcio Illustrato” opublikował artykuł, który nosił tytuł „Lojacono Angelillo - błękitny rozwód”, przekonując, że Ferrari, trener kadry Włoch, zabierze na mundial do Chile tylko jednego z tej dwójki. W tej zatrutej atmosferze 24 września 1961 roku, trzy dni przed wyjazdem do Birmingham, gdzie miał być rozegrany mecz wyjazdowy Pucharu, w czasie meczu Roma-Catania Lojacono, rozżłoszczony gwiazdami, udawał kontuzję, wywołując gwałtowną reakcję publiczności, które zaczęła krzyczeć: „Z boiska... Z boiska...”. Lojacono dał znak, że chce opuścić murawę, ale został zatrzymany przez Schiaffino, Corsiniego i Losiego, podczas gdy lekarz Silvy uspokajał Carniglię, który wprost wychodził z siebie. Następnego dnia „Il Messaggero” opublikował zdjęcie Lojacono w Fiumicino z podpisem: „Gdzie jedzie Lojacono? Do Juve?”. Tymczasem Roma leciała do Anglii bez Schiaffino.

Każda inna drużyna by się posypała. Roma utrzymała się jednak na powierzchni dzięki świetnej postawie profesora Manfrediniego (dwa gole) oraz legendarnemu już

występowi Fabio Cudiciniego, który po latach w wywiadzie udzielonym Franco Bovaio, wspominał:

- To był piękny moment. Jeden z najlepszych w mojej karierze. Graliśmy w deszczu i pamiętam, że zrobiłem kilka niewiarygodnych parad. Za każdym razem, kiedy wychodziłem z bramki, Anglicy wskakiwali na mnie jak szaleni, a sędzia niezbyt się tym przejmował. Dla mnie ten mecz będzie zawsze niezapomniany.

Wyjazdowe spotkanie skończyło się remisem, a już 11 października 1961 roku Anglicy (przyjęci przez wiceprezesa Franco Sensiego) zjawili się na Olimpico, próbując po raz kolejny zmienić mecz piłkarski w bokserski pojedynek. Do tego stopnia, że Carniglia na swój sposób załatwił sprawę, wrzeszcząc do Merricka, trenera Birmingham: Albo każesz twoim przestać kopać, albo ci przyłożę. Na koniec jednak samobójczy gol Farmera, który bezskutecznie próbował obronić bombę Lojacono, oraz strzał Pestrina z 20 metrów dały zwycięstwo Romie. Na oczach 60 tysięcy oszalałych z radości kibiców kapitan Losi odebrał z rąk prezesa FIFA Stanleya Rousa zasłużony puchar, podczas gdy Pedro Manfredini zagarnął finałową piłkę, którą ma do dziś.

A oto jak tamte wydarzenia wspomina jeden z autorów sukcesu, Giacomo Losi.

Co pamiętasz z końcowej fazy turnieju?

GL: Pamiętam, że przeciw Kolonii, w ćwierćfinałach, poradziłem sobie w trzecim meczu, w barażu, który wygraliśmy aż 4-1. Przeciw Hibernian w półfinale pierwszą połowę zamknęliśmy na prowadzeniu i mieliśmy 2 gole przewagi. Ale potem przeciwnicy wyrównali. Wiecie dlaczego? Boisko było nachylone i ten, kto atakował z właściwej strony, miał przewagę. Pomyślcie, w jakich warunkach się wtedy grało! Mecz rewanżowy był dla mnie szczególny.

Dlaczego?

GL: Grałem w reprezentacji w Bolonii przeciw Irlandii Północnej, a następnego dnia był właśnie ten rewanżowy mecz półfinałowy. Wróciłem do EUR, gdzie Roma była na zgrupowaniu, i byłem przekonany, że nie zagram. Ale nasz trener zapytał: „Chłopcy, co powiedzieć, żebyśmy zapytali Giacomo, czy da radę zagrać?” Wszyscy odpowiedzieli „tak”. Całym chórem. Zagrałem cały mecz, a kibice podarowali mi tablicę, która to upamiętniała. Mecz skończył się wynikiem 3-3 dzięki mnie. Uratowałem drużynę przed porażką 4-3, wybijając piłkę z linii bramkowej. Cudicini został minięty przez przeciwnika, który uderzył na bramkę, ale strzał był raczej słaby i udało mi się przeciąć lot piłki. Ale potem, kiedy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, o naszych losach spotkania przesądził rzut monetą, bo to w ten sposób rozstrzygnięto, gdzie zostanie rozegrany baraż. Wygraliśmy losowanie i zagraliśmy w Rzymie, gdzie wygraliśmy aż 6-0. Ten wynik był możliwy, ponieważ udało nam się zrozumieć, jak należy ich uderzyć, ale przede wszystkim dlatego, że byliśmy naprawdę mocną drużyną. Chodziło tylko o to, żeby złapać rytm. Pomyślcie, że przeciw Salonikom, przy innej okazji, wygraliśmy 10-1 po tym, jak na ich boisko zremisowaliśmy. Zdarzały się takie dziwne sytuacje.

Ale wracając do pucharu... Powiedziałbym, że został zdobyty przede wszystkim przez nas, graczy. A potem był finał... Na boisku Birmingham skończyło się 2-2. To był piękny mecz. Anglicy byli wściekli i, zwłaszcza kiedy grali przeciw włoskim drużynom, dawali z siebie wszystko. W Rzymie wygraliśmy 2-0, ale nie dajcie się zwieść wynikowi. Oni dużo atakowali i zasłużyli przynajmniej na remis. Ale my byliśmy świetni. Ośmielę się powiedzieć, że zagraliśmy we włoskim stylu. Wygraliśmy dwoma kontrami.

W sumie była to więc wygrana zespołowa. Jak graliście?

GL: Mieliśmy dwóch ofensywnych bocznych obrońców i jednego środkowego w linii. Potem dwóch pomocników na wysokości trzech czwartych boiska i skrzydłowych trochę bardziej z przodu. No i jeszcze napastnicy.

Jak świętowaliście wygraną?

GL: Poszliśmy wszyscy razem na kolację. Puchar stał na stole. Klub nagrodił nas medalami. Nie było ekscesów, a radością z kibicami dzieliliśmy się tylko na stadionie. Dziś świętuje się bardziej, kiedy coś się wygrywa. Ciekawostką jest, że w naszej kolacji uczestniczyli także przeciwnicy. Dużo było w tym poprawności. Do tej pory mam miniaturową kopię pucharu. Czasem zatrzymuję się na chwilę, żeby na niego popatrzeć.

A tak z kolei mówi o tamtym dniu Manfredini:

- Choreografia na koniec meczu to najpiękniejsze wspomnienie z tamtego dnia - Pedro Waldemar Manfredini nadal ma przed oczyma Stadio Olimpico oświetlone zaimprovizowanymi pochodniami (czy dzisiaj ktoś by na to pozwolił?), kiedy wokół powoli zapadał zmierzch. Mecz odbył się o godzinie 18 11 października. Kiedy dobiegał końca, było już ciemno. Wydawało się jakby wszyscy umówili się, żeby dzięki tej choreografii pokazać gazetom, na co ich stać. Przepiękne. Co za emocje!

Równe niemal zdobyciu pucharu po pokonaniu 2-0 Birmingham. To był pierwszy raz, kiedy włoska drużyna zdobyła europejski puchar. Puchar Miast Targowych, przypominam tym, którzy go nie doceniają, to poprzednich Pucharu UEFA.

Pięćdziesiąt lat. Tyle minęło od tego dnia, kiedy Giacomo Losi uniósł w górę puchar, który odebrał z rąk prezesa FIFA, Stanleya Rousa.

- Dobrze go pamiętam. Wysoki, wyższy nawet niż Cudicini. Jasne włosy, zaczerwieniona twarz. Uścisnął nam rękę, jednemu po drugim, kiedy Losi go nam przedstawiał. I pomyśleć, że to było już pół wieku temu. Ale ja pamiętam każdą z 90 minut tego meczu... «

Wróćmy jednak do sezonu 1961/62, który nastąpił po tym tryumfie. To był także pierwszy sezon, kiedy wyszedł legendarny już album z naklejkami Panini...

- Moja postać warta była przynajmniej tyle, ile 7-8 innych. Nieźle... W tym sezonie miałem skomplikowane relacje z Carniglią, choć łączyło nas argentyńskie pochodzenie i fakt, że obaj byliśmy imigrantami włoskimi. Byłem jego przyjacielem, ale prawdą jest też, że było trochę tarć, ponieważ mówił mi, że nie pasuję do gry, której on chce od drużyny. Próbował nawet wykluczyć mnie z kilku meczów, ale zespół regularnie przegrywał. Pamiętam porażkę u siebie z Vicenzą. To był jak koniec świata. Rok później zapłacił za tę decyzję zwolnieniem. I wrócił Foni... Kiedy wróciłem do zespołu, pojechaliliśmy do Palermo i strzeliłem 3 bramki. Prasa napisała, że to dlatego, że wyobrażałem sobie Carniglię na bramce.

Ale tamten październikowy wieczór pozostaje magiczny. Zachowałem piłkę z tamtego meczu. Dziś ma go mój wnuk, ze wszystkimi podpisami, które zebrałem. Podarowałem mu ją. To taka typowa skórzana piłka, brązowa, ze szwami. Takimi wtedy graliśmy. Kiedy nasiąkały wodą, ważyły przynajmniej 2 kilogramy. Nie tak jak dziś, kiedy piłka waży pół kilograma, nawet jeśli pada. Ale dziś wszystko jest inaczej. Zmieniły się nie tylko piłki. Ale postarajmy się zapamiętać tamte 90 minut. To była piękna drużyna...

Był kapitan Losi, Cudicini na bramce, a potem Lojacono i Angelillo na półskrzydłach...

- Z Orlando na prawej i Menichellim na lewej. I jeszcze Fontana, Corsini, Carpanesi. I Pestrin, który strzelił na 2-0. I pomyśleć, że tego dnia brakowało Guarnacciego, Schiffino... Wyszliśmy na prowadzenie dzięki samobójowi. Ale akcja zaczęła się od wymiany piłek między mną i Lojacono, który oddał mi piłkę piętą. Potem obrońca (Framer) starał się przeciąć lot piłki, ale wepchnął ją do bramki. Jak świętowaliśmy po meczu? Poszliśmy razem na kolację. Z przeciwnikami, ponieważ wtedy był taki zwyczaj. A oni, muszą to przyznać, pokazali ducha sportu, co jest typowe dla Anglików. Prawdziwy mężczyźni. O wiele bardziej poprawni od nas. Ponieważ mogą cię czasem sfaulować, ale nie robią tego złośliwie czy z zamiarem zrobienia krzywdy. U nich to niedopuszczalne. Podobnie jak niedopuszczalne jest symulowanie. Mówiłem wcześniej o świętującym stadionie... To prawda, był pełny. Ale w tamtych czasach wypełniony był zawsze i mimo wszystko. Także kiedy graliśmy ze Spal czy Modeną. Do tej pory mam zdjęcia. Piękne. Cóż za spektakl. Olimpico w tamtych latach! Ale także w kolejnych. Jeśli zostałem w Rzymie, to właśnie dlatego. Dla ludzi, którzy do dziś zatrzymują mnie na ulicy i witają się ze mną. Ponieważ to znaczy, że zrobiłem coś dobrego. I może także ten puchar o tym świadczy.

Dodatkowe materiały na temat tego meczu można obejrzeć tutaj:

<http://www.asromaultras.org/coppadellefiere.html>

Autor: kaisa